

JEDNAK KSIĄŻKI

GDAŃSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2020 nr 11

Artyści działają. Działaczki tworzą

DEBATY I NIEPOKOJE

UWAGA, OTCHŁAŃ!

EWA GRACZYK

Uniwersytet Gdański

Na początek posłuchajmy takiej oto narracji, w jakimś sensie wspólnego dzieła dwu znakomitych historyków idei, Andrzeja Walickiego i Andrzeja Mencwela:

Żyjemy w kraju nie tylko umiastowionym – ilościowo, ale i zurbanizowanym – jakościowo, w którym odpowiednio zmieniają się postawy ludzkie. Postępująca demokratyzacja społeczna zniosła stanowe anachronizmy i klasowe bariery właściwe Polsce międzywojennej, stymulowała awans wielkich grup społecznych i wzmocniła wewnętrzną integrację narodową. Przyczyn było wiele, ale trzy najważniejsze warto wskazać – wojenno-okupacyjne „zrównanie stanów”, powojenną reformę rolną oraz forsowną industrializację i jej pochodne (w tym także powszechną scholaryzację), masowy wreszcie udział pracujących w ruchu solidarnościowym i jego zwycięstwo, a potem wzrost nowej klasy średniej i dynamiczną ekspansję szkolnictwa wyższego w III Rzeczypospolitej. Współbieżnie z tymi zmianami społecznymi dokonują się komunikacyjne – współczesne media masowe są obiektem uzasadnionej ambiwalencji, ale niewątpliwie homogenizują również audytorium, czyli wzmacniają wspólnotę. Wszystkie te procesy razem składają się na to, że w Polsce powstaje naród naprawdę nowoczesny w swojej strukturze społecznej, więziach wewnętrznych i różnicach funkcjonalnych. Stanowi on, jak wolno sądzić, trwały substrat demokracji politycznej, a jego konfiguracja zaczyna odpowiadać tej, jaka dominuje w „starych” krajach Unii Europejskiej. (Mencwel 2009: XX)

Dziwne, prawda? Jeszcze 12 lat temu można było napisać taką krótką i zasadniczo optymistyczną wersję polskiej drogi do nowoczesności. Dzisiaj jednak, choć nadal w sporej części aktualne jest to, co Andrzej Mencwel napisał, wyciągając wnioski z prac Andrzeja Walickiego, ci zwłaszcza, którzy lokują się po lewej stronie ideowej widzą, do jakiego stopnia przytoczony opis jest zbyt prostoduszny, zbyt jednostronny. Każde z zacytowanych zdań nadal przekonuje, a jednak zawierają one tak liczne przeoczenia, zawarte w nich prognozy na przyszłość okazały się tak nietrafne (mogę się mądrzyć, bo piszę te słowa w 2020 roku), że cała synteza Mencwela-Walickiego rozsypuje się, toczą ją od środka robaki destrukcji.

Skupię się teraz na pracy tych korników i agresywnie wejdę w każde prawie zdanie. Przeczytajmy więc jeszcze raz:

Żyjemy w kraju nie tylko umiastowionym – ilościowo, ale i zurbanizowanym – jakościowo, w którym odpowiednio zmieniają się postawy ludzkie.

„Odpowiednio” – wiele z tego, co zdarzyło się w 2015 roku wskazuje, że w zaskakująco wielkim stopniu „nieodpowiednio”, w rozumowaniu Mencwela streszczającego tezy Andrzeja Walickiego, ślad słynnego Marksowskiego zdania – „byt kształtuje świadomość” – źle działa w tym miejscu (bo jeżeli ludzki byt jest traumatyzowany, jego świadomości nie kształtują ani wyłącznie, ani przede wszystkim teraźniejsze składniki)

Postępująca demokratyzacja społeczna zniosła stanowe anachronizmy i klasowe bariery właściwe Polsce międzywojennej, stymulowała awans wielkich grup społecznych i wzmocniła wewnętrzną integrację narodową.

Co do stratyfikacji społecznej w PRL-u to niewątpliwie racja (choć też nie taka jednoznaczna), ale za to w III RP wytworzyła wielkie różnice ekonomiczne i klasowe.

Przyczyn było wiele, ale trzy najważniejsze warto wskazać – wojenno-okupacyjne „zrównanie stanów” (...).

Najbardziej bulwersujący aspekt tego zrównania, Zagładę, za kilka lat Andrzej Leder uczyni jednym z głównych tematów swojej przejmującej *Prześnionej rewolucji*, a ja w dalszej części mojej pracy będę dyskutować z jego rozumowaniem.

powojenną reformę rolną oraz forsowną industrializację i jej pochodne (w tym także powszechną scholaryzację), masowy wreszcie udział pracujących w ruchu solidarnościowym i jego zwycięstwo (...)

Ewa Graczyk

Warto jednak pamiętać, że pomiędzy „masowym udziałem a zwycięstwem” był przedłużony stan wojenny (trwał prawie dekadę), co, jak sądzę, miało ważny i negatywny wpływ na dalszy rozwój zdarzeń, też będę o tym pisać,

a potem wzrost nowej klasy średniej (...)

Nowa klasa średnia jest bardzo zróżnicowana, bo pochodzi z rozmaitych etapów i aspektów transformacji, co mocno ją dezintegruje i konfliktuje.

i dynamiczną ekspansję szkolnictwa wyższego w III Rzeczypospolitej.

I znów, musimy sobie uświadomić, że dynamiczna ekspansja szkolnictwa wyższego w III RP w radykalny sposób różnicuje klasowo polskie społeczeństwo.

Współbieżnie z tymi zmianami społecznymi dokonują się komunikacyjne – współczesne media masowe są obiektem uzasadnionej ambiwalencji, ale niewątpliwie homogenizują również audytorium, czyli wzmacniają wspólnotę.

Tutaj mamy do czynienia z największą futurystyczną wpadką autorów, bądźmy jednak sprawiedliwi: kto w 2008 roku mógł przewidzieć, że za kilka lat Internet stanie się przestrzenią hybrydowego „uwojennienia” wszelkich relacji – od międzynarodowych po międzyludzkie.

58

Wszystkie te procesy razem składają się na to, że w Polsce powstaje naród naprawdę nowoczesny w swojej strukturze społecznej, więziach wewnętrznych i różnicach funkcjonalnych.

Dojście do władzy PiS-u i kształt sojuszu tej władzy z Kościołem katolickim wskazują, że polski naród wcale nie jest taki nowoczesny, jakby się mogło wydawać.

Stanowi on, jak wolno sądzić, trwały substrat demokracji politycznej, a jego konfiguracja zaczyna odpowiadać tej, jaka dominuje w „starych” krajach Unii Europejskiej.

I znów wielka i nieunikniona chyba wpadka: brexit i wiele innych zjawisk świadczy o tym, że wpływ był i jest obustronny – oddziaływanie nowych na starych jest niewiele słabsze niż wpływ starych na nowych, a skutki wzajemnych oddziaływań bywają okropne.

Wkraczając w obraz Walickiego – Mencwela możemy zobaczyć, że pogodnemu pierwszemu planowi towarzyszy groźny cień, mroczna otchłań.

Spróbujmy podążyć za rozmaitymi wątpliwościami, skupiając się na niektórych pozornie tylko nieważnych czynnikach zagrażających nowoczesności – finalnie po to, żeby wesprzeć konstrukcję takiego jej projektu, który nie będzie niesprawiedliwą, nieodporną na fale *backlashu*, atrapą.

Zacznę od tego, że do syntezy Mencwela-Walickiego oraz do przeprowadzonej przez siebie jej dekonstrukcji, dodam własną opowieść o tym, co wydarzyło się w Polsce po 1989 roku.

W mojej relacji spory nacisk kładę na szczególny stan ducha polskiej elity (najpierw opozycyjnej, a potem rządzącej); jej mentalności ukształtowanej w dużym stopniu przez doświadczenie przedłużonego stanu wojennego (zmieniający się potem w trakcie transformacji ustrojowej); pod innymi względami prezentowany tu obraz początku przemian nie bardzo się różni od tego, co sądzi, zwłaszcza obecnie, wielu lewicowych ekonomistów, polityków i publicystów (Ost 2007, Modzelewski 2013, Sutowski 2020).

Początki III Rzeczypospolitej to działania garstki bohaterów wywodzących się z solidarnościowej elity, którzy pod koniec lat osiemdziesiątych w rozmowach z przedstawicielami komunistycznych władz oraz reprezentantami Kościoła, w imieniu polskiej zbiorowości, stopniowo jednak coraz bardziej ponad jej głowami, w rozmaitych ustaleniach wstępnych – nie tylko przy Okrągłym Stole – podjęli kluczowe decyzje dotyczące przyszłej Polski. Politycy opozycjoniści, korzystając ze swego autorytetu, ze swego jakby odgórnego ulokowania, określili horyzont politycznych i ekonomicznych reguł ważny do dziś.

Z obecnej perspektywy najistotniejsze wydają się trzy decyzje transformatorów podjęte u progu przemiany: herosi uznali, że trzeba wprowadzić gospodarkę wolnorynkową w pośpiesznym, szokowym trybie; uznali, że Kościołowi należy się specjalne miejsce w politycznej strukturze polskiego państwa oraz doprowadzili do prawie całkowitego zakazu przerywania ciąży.

Kiedy się dość ostro krytykuje (jak ja będę to czynić) ten szokowy początek, dla sprawiedliwej równowagi wziąć trzeba pod uwagę zewnętrzny, światowy kontekst polskich przemian, był to bowiem czas globalnej ekspansji neoliberalnego programu ekonomicznego, czas tak zwanej TIN-y. Na sposób przeprowadzenia transformacji ogromny wpływ miały więc światowe tendencje ekonomii neoliberalnej (Klein 2008).

Świeżo nawróceni na wolny rynek bohaterowie nie widzieli (ale i nie chcieli się dowiedzieć), jak bezwzględny ustrój budują, a zwłaszcza nie byli świadomi, jak trudno będzie wprowadzić jakąkolwiek istotniejszą korektę konstruowanego przez siebie społeczno-ekonomicznego ładu.

Większość solidarnościowych polityków idealizowała Kościół, widziała tę instytucję jako towarzysza broni w walce z komunistyczną władzą. Opozycjoniści znali Kościół z jego częściowo samoograniczającej się postaci charakterystycznej dla PRL-u lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Bohaterowie zakładali, że stosunkowo tolerancyjna instytucja, z którą, jak sądzili (czy chcieli sądzić), współpracują, taka już pozostanie.

Przerywanie ciąży z przyczyn społecznych było legalne w PRL-u od 1956 roku. Kiedy po 1989 roku episkopat zażądał zakazu aborcji, kwestia ta wydawała się herosom nieważna (słynny temat zastępczy) i dodatkowo skompromitowana PRL-owską proveniencją. Wprawdzie w latach legalnej i nielegalnej Solidarności wiele członkiń związku działało aktywnie, często pracowały one na strategicznych, choć zazwyczaj dyskretnych, pozycjach (patrz redakcja „Tygodnika Mazowsze”), jednak w tamtych czasach same aktywistki nie definiowały swoich decyzji politycznych w kategoriach emancypacji płci, uważały, że walczą o kwestie „uniwersalne”. Za pierwszej Solidarności kategoria płci była nieaktywna politycznie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych rządzący odrzucili wniosek o referendum w sprawie dopuszczenia aborcji z przyczyn społecznych; odrzucili, mimo ogromnej fali sprzeciwu. Warto przypomnieć, że pod żądaniem referendum w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży podpisało się milion siedemset tysięcy osób: zwróćmy uwagę na skalę utraconej od 1989 roku aktywności politycznej.

Kiedy dochodziło do konfliktu lojalności, kiedy realne dobro dużej części społeczeństwa wymagało wymuszenia czegoś na post/komunistycznej nomenklaturze, a zwłaszcza na Kościele, dawni bohaterowie czuli się lojalni w pierwszej kolejności wobec swoich partnerów na górze, w tym, czy przede wszystkim, wobec katolickich hierarchów. Ich solidarność z niżej od siebie ulokowanymi – robotnikami (w jednym porządku) czy kobietami (w innym) – spektakularnie malała z biegiem lat.

Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych większość społeczeństwa w pełni ufala legendarnym postaciom opozycyjnego i solidarnościowego podziemia. Jednak herosi zapamiętani z sierpniowego karnawału, po 1989 roku stopniowo, lecz zarazem dość szybko, stawali się „pragmatycznymi”, zimnymi politykami. Żeby zrozumieć głębię tej przemiany warto brać pod uwagę, że w latach przedłużonego stanu wojennego opozycjoniści, którzy żyli w bohaterskiej izolacji (zamknięci w internatach i więzieniach, ukrywający się w podziemiu), bywali mocno rozgoryczeni. Sądzę, że trudno im było powstrzymać się od lekceważenia nieheroicznej większości społeczeństwa, która odsunęła się od zdelegalizowanej „Solidarności”. W ich decyzji o przyjęciu twardej wersji planu Balcerowicza mogło być i to: „myśmy samotnie, walecznie, cierpieli, więc teraz mamy prawo nie oszczędzać was, małych ludzi”. Wiele lat temu miałam ponurą intuicję co do konsekwencji odseparowania solidarnościowych konspiratorów (Graczyk 1982: 263-267).

Przeczytajmy na przykład fragment wywiadu Grzegorza Sroczyńskiego z Janem Krzysztofem Bieleckim (Sroczyński, Bielecki 2014):

19 października 1991 roku był pan premierem Polski. Przepis likwidujący pegeery i decydujący o losie pół miliona ludzi ma pięć zdań. „Wykreślenie przedsiębiorstwa z rejestru podmiotów” – to najważniejsze. Wyście w ogóle pomyśleli, co będzie z tymi ludźmi?

- Nie pamiętam.

- Nie?

- Myśleliśmy, proszę pana, o gospodarce, która nam się cały czas kurczyła. To była myśl dominująca. Nie przypominam sobie większych dyskusji na temat pegeerów. [...]

- Po 25 latach mógłbym się mądrzyć. Tylko to byłoby nieprawdziwe, nie chcę udawać. Powiem tak: była burza, miałem mało okrętów, starałem się płynąć szybko.

Kończące sprawę pegeerów przywołanie wiersza *Dlaczego klasycy* Zbigniewa Herberta aktywizuje militarną, heroiczną metaforykę. Sroczyński pyta o społeczną i ekonomiczną pustkę, w której rząd Bieleckiego pozostawił pracowników likwidowanych pegeerów, a polityk stoi przed Bogiem i Historią i nie chce pogрузić się w blahym świecie „płaczu kochanków w małym brudnym hotelu”. Poeta i Premier (jak łatwo obsadził się w roli Wodza!) zgadzają się, że istnieją sprawy wielkie i małe, więc kiedy Politykowi wpadnie coś do tej drugiej rubryki, „słusznie” przegrywa. Bielecki delectuje się tragiczną wielkością historycznej alternatywy – tworu swojej militarno-neoliberalnej wyobraźni „poetyckiej”.

Kilkanaście pierwszych kluczowych lat bezwarunkowego funkcjonowania radykalnej, pseudomilitarnej postawy polityków wszystkich opcji, zostawiło skutki, z którymi borykamy się do dziś. Równolegle bowiem wśród mas tracących pracę, rzesz kobiet i mężczyzn latami pracujących za grosze, umacniało się poczucie opuszczenia i bezradności, narastało zdumienie, że ci sami politycy i intelektualiści, którzy podczas karnawału Solidarności, z szacunkiem, często podziwem, odnosili się do robotników (dziś powiedzielibyśmy, do klasy ludowej), bez zmrużenia powiek zostawiali bezrobotnych, prekariuszy, pracujących za grosze, na pastwę konsekwencji wynikających z decyzji podejmowanych przez polityczną i intelektualną elitę. Transformatorzy szybko wytworzyli duże społeczne nierówności i nie zapobiegli temu, że pojawiły się liczne enklawy społecznej katastrofy, budzące u kobiet i mężczyzn zamurowanych społecznie w tych zonach reminiscencje ze strasznej przeszłości.

Na uczuciach żalu, gniewu i bezradności (egzystencjalnej, poznawczej i komunikatywnej) stopniowo narastał ogromny rezerwuar resentymentów. Dręczyły one i dręczą tych, których nazwano „przegranymi” transformacji.

Warto również zwrócić uwagę, że określenie „przegranymi” to dodatkowy gwałt symboliczny na tych, których minimalne bezpieczeństwo życiowe przez wiele lat poświęcano na rzecz przyszłej szczęśliwości.

Obecne dojście do władzy PiS-u można uważać za rodzaj zemsty za sposób przeprowadzenia transformacji – odgórny, radykalny, usztywniony ideologicznie, odmawiający porozumienia z niżej ulokowanymi – przez wszystkie kolejne ekipy rządzących (podobny mechanizm zdecydował też o zwycięstwie Trumpa w wyborach z 2015 roku). Ta zemsta przekształca się obecnie we frontalny atak

na modernizację, na nowoczesność, bo to pod jej hasłami neoliberalni rewolucjoniści wprowadzali społeczną i ekonomiczną zmianę.

Jak wiemy, ta antymodernistyczna zemsta jest pod wieloma względami przeciwnie skuteczna i niesie ze sobą ogromne zagrożenia na przyszłość. Jest szczególnie groźna wobec katastrofy klimatycznej oraz sytuacji kobiet.

Chciałabym naszkicować – poprzez sekwencję nagłych odsłonieć, fragmentarycznych hipotez – obraz naszej obecnej rzeczywistości społecznej jako efektu zderzenia teraźniejszości z różnymi warstwami przeszłości.

Zacznę od dyskusji z dwoma badaczami: z Maciejem Gdulą, autorem raportu *Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta* (2017) oraz Andrzejem Lederem, który napisał *Prześnioną rewolucję* (2014). Przedsięwzięcia intelektualne socjologa i filozofa oprócz uznania i szacunku, budzą we mnie pewien niepokój. W przypadku pierwszego z nich odczuwam przede wszystkim sprzeciw, który nie dotyczy nawet podstawowej problematyki badacza – nowego autorytaryzmu – ale czegoś, co nazwałabym przeakcentowaniem planu teraźniejszości wobec przeszłości. W przypadku drugiego (jego poglądy są, jak łatwo się domyślić, dużo mi bliższe) sądzę, że trzeba dokonać pewnej korekty kluczowej skądinąd i przenikliwej wizji badacza.

Zaczynając od tego zespołu Macieja Gduli powiem, że nie odpowiadają one mojemu osobistemu doświadczeniu i intuicji. Za każdym razem, gdy stykam się z przedstawicielami konserwatywnej reakcji – z PiS-owcami, endekami, nacjonalistami, faszystami, kibolami, korwinowcami – w interakcji z nimi pojawia się jednak, prędzej czy później, jakiś długo hodowany odcień zranienia i frustracji, a na koniec prawie zawsze dochodzi do wylewu resentymentów. Demonstrują się one bez końca w działaniach rozmaitych „swojaków”. Dlatego trudno mi podzielać sąd Gduli, że niezadowolenie nie jest już najważniejszym paliwem PiS-u, bo w ciągu ostatnich kilku lat znacznie się poprawiło, a zwolennicy PiS-u są we wszystkich klasach społecznych rozmieszczeni prawie równo, więc wcale nie gromadzą się wśród klasy ludowej i na sfrustrowanej prowincji. Owszem, PiS-owcy są obecni na każdym szczeblu drabiny społecznej, nie tylko wśród „przegrych” i nie tylko w małych miastach, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że żale, skryta najczęściej frustracja zwolenników i wyborców Prawa i Sprawiedliwości (i okolic) narastały i przekształcały się długo, tworzyły skomplikowane zrosty emocjonalne, niepozabawione rozmaitych satysfakcji.

Trwałą obecność niezadowolenia, resentymentu, depresyjny punkt wyjścia rozmaitych zwolenników reakcji dobrze widać z perspektywy feministycznej: jeśli uwzględnimy zjawisko wrogości wobec awansu kobiet zobaczymy, że to jednak frustracja i gniew są najważniejsze, bo post-endeków, nacjonalistów, faszystów, kiboli, korwinowców i PiS-owców łączy niewątpliwa, choć różnie wyrażana i nie tak samo intensywna, mizoginia (obecna także w postawie pravicowych polityczek).

Nie podzielam przekonania badaczy z zespołu Gduli, że gdy pytają ankietowanych, mają przed sobą rozmówców zlokalizowanych w teraźniejszości. Nieustające pojawianie się na polskiej scenie zjawisk, figur i zachowań ze zbiorowych reminiscencji i snów gwałtownie zaprzecza czysto synchronicznej perspektywie socjologów. Zestarzane traumy długo krążą w polskim systemie symbolicznym i najczęściej łączą się ze sobą w rozmaite kombinacje starszych i nowszych zranień. Jeśli, na przykład, ktoś z przepytanych przez ekipę Gduli przedostał się do Miastka z którejś z enklaw nieszczęścia, na przykład z obszaru popegeerowskiej pustki, tamta trauma przetacza się przez życie jego rodziny już w trzech pokoleniach, co wpływa na aktualne wybory polityczne (często zupełną bierność) członków i członków miastkowej rodziny. Socjolog, z narzędziami badawczymi skupionymi na teraźniejszości, ma ograniczone możliwości wyjaśniania polskiej rzeczywistości.

Za to w książce Andrzeja Ledera problem związku przeszłości i teraźniejszości odnajduje swoje fundamentalne miejsce i jest to jej ogromna wartość. Nie mam wątpliwości, że podstawowe tezy tej pracy są prawdziwe, śniliśmy i śnimy, zdarzyła się nam rewolucja w dużej części zrobiona cudzymi rękoma. Jednak autor *Prześnionej rewolucji* buduje generalny i dość dogmatyczny model, a kiedy przechodzi od planu makro do mikrostruktur, do analizy poszczególnych wydarzeń, jego interpretacje zdarzeń nie zawsze i nie w pełni mnie przekonują. Zwłaszcza opis konsekwencji Zagłady dla pozostałej, nieżydowskiej części społeczeństwa polskiego budzi we mnie spore zastrzeżenia: nie dotyczą one jednak, zastrzegam od razu, kwestii niewątpliwie historycznej odpowiedzialności Polek i Polaków za to, co zdarzyło się w czasie ostatniej wojny i tuż po niej.

I tak Andrzej Leder pisze w kluczowym miejscu swojej książki:

Wymordowanie Żydów – w głównej mierze, choć nie tylko, przez hitlerowców – pozostawiło nagle ogromną lukę w społecznej i ekonomicznej tkance polskiego społeczeństwa. Lukę, która szybko się wypełniła. (Leder 2014:80)

To ostanie zdanie autora *Prześnionej rewolucji* wydaje się kluczowe dla jego rozumowania i jest, jak sędzę, zbyt pośpieszne, przesłania sobą przepaść, która się za nim kryje. Autor jednym skokiem przepaść tę pokonuje, jakby bojąc się spojrzeć w otchłań.

Autor *Prześnionej rewolucji* pisze dalej tak:

Jeśli w setkach miasteczek mniej więcej sześćdziesiąt procent domów było zamieszkiwane przez Żydów, to po ich zabiciu domy te mogły być zamieszkane przez nowych właścicieli. Podobnie rzecz się miała z tych domów zawartością: przysłowiowe już poduszki i pierzyny, zastawy, ubrania. Najbardziej łakome kąski zostały zabrane przez Niemców, jednak tego, co zostało, i tak było dużo. (Leder 2014:80)

Miejscowi katolicy czasem już w czasie wojny, a najczęściej zaraz po niej, przejęli żydowskie domy, przechwycili niewielkie warsztaty pracy, w przerażających zazwyczaj okolicznościach zrabowali czy wyludzili dużo złota i biżuterii. Wydaje się jednak, wbrew temu, co zdaje się sugerować Leder, że

większość tego „kapitału” nie przyniosła wielu „korzyści” nowym „właścicielom”. Po pewnym czasie, w różnym tempie, „pożydowskie” dobra zużywały się: nieremontowane zazwyczaj domy niszczały, poduszki i pierzyny wydzierały, z ubrań nawet futra łądowały w końcu na śmietniku. Kosztowności zabrane zabijającym czy zabitym miały wprawdzie dużo większą wartość i trwalszy charakter, ale krążyły w nielegalnym, zamkniętym obiegu pomiędzy wtajemniczonymi i uwikłanymi, i nie bardzo mogły ten krąg przekroczyć. Jednocześnie komunistyczna władza zaatakowała własność w bardziej generalny sposób i zaczęła odbierać większe warsztaty pracy; rządzący PRL-em na długo zablokowali więc (czy bardzo utrudnili) „inwestowanie” żydowskiego „kapitału” w jakiegokolwiek większe przedsięwzięcia ekonomiczne. Wykorzystywanie – pranie – złoto/czarnych pieniędzy było więc bardzo ograniczone czy wręcz niemożliwe. Przypomnę w tym miejscu ważną tezę de Soto: twierdzi on, że jedną z istotnych przyczyn zastoju gospodarczego wielu słabo rozwiniętych społeczeństw jest brak możliwości udokumentowania praw do posiadanych zasobów. W skandalicznym kontekście Zagłady jego teza sporo wyjaśnia: charakter „zdobyczy”, po które sięgnęli polscy katolicy – żydowskie złoto z wyrwanych zębów na przykład – był skrajnie obciążający i nie można go było uprawomocnić.

Spoleczna, kulturowa luka pod wieloma względami wcale się więc nie zapełniła, „kapitał” gnął w ekonomicznym bezruchu, jego „właściciele” tkwili z jednej strony w kazamatkach wypartego, jakby nieistniejącego poczucia winy, a z drugiej, praktycznej i cynicznej, w niemożności puszczenia w ruch nie/posiadanych „dóbr”.

Nie lekceważyłabym strony etycznej, co zdaje się sugerować jakby niefrasobliwy ton badacza – przypomnę pośpiech zdania „luka szybko się wypełniła” (ten pośpiech jest, jak się możemy domyślić, nie w pełni świadomą obroną przed etycznym i estetycznym ciężarem Zagłady) – nawet gdy sami sprawcy zdają się zupełnie amoralni, najczęściej mają dzieci, a potem wnuki, wchodzą również w rozmaite relacje społeczne. Zupełny paraliż etyczny jest nie do utrzymania w skali całej zbiorowości i na przestrzeni kilku pokoleń: w którymś momencie ktoś się budzi z zaccadzenia i ta szansa/groźba ciągle wisi nad zbiorowościami Jedwabnego, Kielc czy Krakowa. Jak i całej Polski zresztą.

Nie/wiedza, nie/pamięć tego, co zrobiła niedawno temu „nasza” lokalność, odbierała i odbiera bardzo wiele także „beneficjentom” i ich potomkom nie/korzystającym z „pożydowskiego” mienia: odbiera, jak sądzę, możliwość przytomnego, racjonalnego i etycznego zarazem, gospodarowania swoim życiem. Przypomnijmy sobie obrazy z *Shoah* Lanzamanna, z dokumentów Agnieszki Arnold czy Marcela Łozińskiego: widzimy na nich „tubylców” zastygłych w beczasie osierocenia i ubóstwa. Zbrodnie polskich sąsiadów na Żydach w znacznym stopniu (choć na pewno nie w całym) zostały popelnione po nic, przyczyniły się za to do utrwalenia się kulturowego zastoju wielu lokalnych zbiorowości.

W ważnej książce Jana Sowy *Fantomowe ciało króla* odnalazłam, między innymi, bardzo interesujące dane statystyczne. Autor porównuje polskie statystyki ze wskaźnikami z Niemiec i Rosji

w kwestiach dotyczących więzi społecznych. Najczęściej jesteśmy pośrodku (można się było tego domyślić), ale w trzech przypadkach nasze wyniki są gorsze nie tylko od niemieckich, ale i rosyjskich:

Autorytaryzm (im większy wynik, tym silniejsze wymaganie posłuszeństwa wobec autorytetu, nawet jeśli jest ono sprzeczne z kryteriami racjonalnymi) – Niemcy 13.9, Polska 34.6, Rosja 34.4; niezależność (im większy wynik, tym większy nacisk na autonomiczne podejmowanie decyzji) Niemcy 69.7, Polska 22.6, Rosja 29.6; zaufanie do ludzi (im wyższy wynik, tym większe zaufanie) – Niemcy 37.5, Polska 18.4, Rosja 42. (Sowa 2011:474)

Jan Sowa nie podaje dokładnie, z którego roku pochodzą dane. Sądzę jednak, że uległy one pogorszeniu. Zwłaszcza dwa ostatnie wskaźniki świadczą o dramatycznym i bardzo trwałym rozdarciu tkanki społecznej. Można przypuszczać, że ma ono wiele wspólnego ze wskazaną przez Ledera otchłanią, z odkryciem, do czego oni/my są/jesteśmy zdolni.

Leder zamyka swoją książkę o końcu feudalizmu w Polsce na 1956 roku, myślę jednak, że przyjmując konsekwentnie zapisany w *Prześnionej rewolucji* punkt widzenia, powinniśmy się pogodzić z otwarciem perspektywy na obecne zdarzenia – na terażniejszą PiS-owską reakcję, przede wszystkim. Również dolną granicę kończenia się feudalizmu odsunęłabym w głąb historii, bardziej tradycyjnie łącząc ją ze zniesieniem pańszczyzny w zaborze rosyjskim w 1864, wiążąc z kluczową decyzją carskich władz skierowaną przeciw powstańcom styczniowym. Niewiele na tym tezy Andrzeja Ledera traca: także w tamtym czasie ważna zmiana społeczna dokonała się poprzez decyzje nie-Polaków.

Feudalizm kończy się więc w Polsce (jak sądzą) etapami, poszczególnymi sekwencjami historycznymi, nieciągłymi epizodami, od ponad półtora wieku. Budowanie nowoczesności, wyjście z relacji stanowych (czy wręcz kastowych) to jakby hybrydyczny proces w toku. Hybrydyczny dlatego, że elementy feudalizmu ciągle na nowo odradzają się i przekształcają (są w szczególności sposoby aktywne i twórcze) w zamkniętych enklawach regresu i nieszczęścia społecznego (upraszczając można powiedzieć, że wielokrotnie dochodzi do szczególnej koegzystencji: kapitalizm idzie „górami”, feudalizm „dołem”).

Ostatnią przestrzenią, w której panują stosunki feudalne i która, jak na razie, trzyma się w Polsce mocno i ciągle na nowo wpływa na społeczeństwo, jest Kościół katolicki. Taką hipotezę formuluje dość wyraziście (choć jakby mimochodem) Joanna Tokarska-Bakir w publikowanej w tym numerze dyskusji o filmie *Kler*, ale podskórne funkcjonowanie tej tezy odnaleźć możemy we wszystkich książkach badaczki, od *Rzeczy mglistych* (2004), poprzez *Legends o krwi: antropologia przęsądu* (2008), *Okrzyżki pogromowe* (2012), po (na razie) dwa tomy *Pod klątwą. Społeczny portret pogromu kieleckiego* (2018).

Kiedy czyta się prace Tokarskiej-Bakir regularnie, może zrodzić się czytelnickich i czytelnickich podejrzenie, że gdyby po II wojnie światowej Polska nie znalazła się w sferze sowieckiej władzy, nasze losy nie potoczyłyby się dużo lepiej niż za komuny. Gdyby wyzwolili nas zachodni

alianci, rządy w Polsce przejąłby (prawdopodobnie) jakiś swojski Salazar czy Franco i przez wiele dziesięcioleci tkwilibyśmy w zaduchu faszyzującego, katolickiego i nadal stanowego społeczeństwa. Prawdopodobnie doszłoby do jeszcze większej fali powojennych pogromów (które spowodowałyby odwrócenie się światowej opinii publicznej od kraju, który niczego się nie nauczył). Zrabowane Żydom złoto i inne dobra krążyłyby w oligarchicznej i mafijnej gospodarce reżimu, dodatkowo separując autorytarne państewko od europejskiego centrum.

Ta alternatywna historia przeziara również przez drugi plan, szowinistyczny i antysemicki, wielu wydarzeń z 1956 roku, eksploduje jawnie w marcu 1968 roku, potem znajduje ujście w postawach wielu działaczy związkowych podczas karnawału posierpniowej Solidarności. Obecnie wychodzi na pierwszy plan, bo państwo Salazara to niewątpliwie ideał Jarosława Kaczyńskiego.

Polski powojenny antysemityzm jest najważniejszym, choć nie jedynym, symptomem istnienia windy głębinowej, która w momentach kryzysowych osuwa znaczną część polskiego społeczeństwa w ahistoryczną przednowoczesność. Dzieje się tak, gdy gwałtowność politycznych aktów budzi nie/pamięć bólu i okrucieństwa, gdy rodzi anachroniczne, ludobójcze analogie – analogie nadmierne, najczęściej racjonalnie nieuzasadnione, lecz mające realne skutki.

Jeżeli do przepracowania poważnej traumy potrzeba pięciu pokoleń (Steinem 2019), to w polskiej historii od czasu utraty niepodległości pod koniec XVIII wieku, przez cały XIX i większość XX, aż po czasy dzisiejsze, mało kto, zarówno w wymiarze zbiorowym, jak i indywidualnym, miał czas, żeby tę pracę wykonać. Zanim mogło dojść do przepracowania jednej traumy, pojawiały się następne. Mamy więc do czynienia z sumowaniem się historycznych urazów, z rodzajem kaskadowego odbijania się o siebie starszych i nowszych zranień. Zwłaszcza zamiana ról pomiędzy ofiarami, sprawcami, świadkami/gapiami, ma ogromne znaczenie dla pojawiania się paroksyzmów nierównowagi psychospolecznej zarówno wewnątrz rozmaitych grup, jak i pomiędzy klasami, środowiskami i osobami. Zwłaszcza niewolnictwo pańszczyźnianych chłopów, Zagłada, przetaczanie się dwu totalitaryzmów, ciągle dają o sobie znać rozmaitymi, często bardzo odległymi, symptomami.

Ostatnie z wielkich, historycznych uderzeń traumy o traumę, którego doświadczamy, to szok transformacji – początek III RP.

BIBLIOGRAFIA

Gdula Maciej. 2017. Raport „Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta”. Online: <https://krytykapolityczna.pl/institut/raport-dobra-zmiana-w-miastku>. Data dostępu 21.11.2019.

Graczyk Ewa. 1982. Głos w dyskusji. W: Style zachowań romantycznych, Janion Maria, Zielińska Maria, red. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.

- Klein Naomi. 2008. Doktryna szoku. Jak współczesny kapitalizm wykorzystuje klęski żywiołowe i kryzysy społeczne. Jankowska Hanna, Katarzyna Makaruk, Tomasz Krzyżanowski, Michał Penkała, tłum. Warszawa: Muza.
- Leder Andrzej. 2014. Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Mencwel Nadrzej. 2009. W: Kultura i myśl polska: prace wybrane Andrzeja Walickiego, Andrzej Mencwel, red. t.1. Naród, nacjonalizm, patriotyzm. Kraków: Universitas 2009.
- Modzelewski Karol. 2013. Zajeżdżymy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca. Warszawa: Wydawnictwo Iskry.
- Ost Dawid. 2007. Klęska „Solidarności”. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie. Warszawa: Muza.
- Sowa Jan. 2011. Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą. Kraków: Universitas.
- Sroczyński Grzegorz, Jak Krzysztof Bielecki. 2014. „W sobotę w Wyborczej: Jan Krzysztof Bielecki opowiada, jak kusi kasa”. W: Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny. 17-18.05.2014.
- Steinem Gloria. 2019. Moje życie w drodze. Dzierzgowska Anna, tłum. Warszawa: Poradnia K.
- Sutowski Michał. 2020. „Najwyższa pora, by plan Balcerowicza odkreślić grubą linią”. Online: <https://krytykapolityczna.pl/kraj/30-lat-planu-balcerowicza-michal-sutowski>. Data dostępu 03.01.2020.
- Tokarska-Bakir Joanna. 2004. Rzeczy mgliste: eseje i szkice. Sejny: Wydawnictwo Pogranicza.
- Tokarska-Bakir Joanna. 2008. Legendy o krwi: antropologia przesądu. Warszawa: Wydawnictwo W.A.B.
- Tokarska-Bakir Joanna. 2012. Okrzyki pogromowe. Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939-1946. Wołowiec: Czarne.
- Tokarska-Bakir Joanna. 2018. Pod kłutwą. Społeczny portret pogromu kieleckiego. Warszawa: Czarna Owca.